

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 11300·— Mk. z przes. 12000·—Mk. Półrocznie 24000·— Mk. Rocznie 48000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 1000 Marek.

Rok XX. Kraków, 24 lutego 1923. Nr. 8.

Pojedynek na ulicy



(Rycina do artykułu na stronie drugiej).



Pogrzeb bohaterów rokitniańskich w Krakowie: Ś. p. Zbigniew Dunin-Wąsowicz, dowódca 2 szwadronu ułanów legionowych.

Pojedynek na ulicy.

(Do illustracyi tytułowej).

Niezwykłego a krwawego zdarzenia był w tych dniach widownią Budapeszt. Na ulicy Fran. Deak, przed gmachem filii wiedeńskiego banku handlowego w godzinach przedpołudniowych rozległo się osiem strzałów rewolwerowych, z których jeden zabił prokurenta banku Andrzeja Friwaldskiego. Mordercą jego był urzędnik tegoż banku Koloman Eszlary, któremu Friwaldski wymówił posadę. Eszlary liczy obecnie 21 lat, jest oficerem rezerwy i od dwóch lat już urzędnikiem banku. Twierdzi on, że Friwaldski wymawiając mu posadę odniósł się do niego w obelżywy sposób, a gdy obrażony Eszlary żądał satysfakcyi, Friwaldski odmówił mu. Wobec tego Eszlary czekał przed bankiem, a gdy nadjechał Friwaldski, Eszlary spoliczkował go. Prokurent, który stale nosił przy sobie broń, wyciągnął z kieszeni rewolwer i począł strzelać. Ani publiczność ani policya nie mogła wobec ciągłych strzałów interweniować. Dopiero, gdy Friwaldski padł martwy na bruk, a morderca strzelał już do trupa, policya obezwładniła go. W ciele Friwaldskiego znaleziono pięć kul. Eszlary odniósł dwie rany.

Ten pojedynek na ulicy uczynił w mieście ogromne wrażenie.

Pogrzeb bohaterów rokitniańskich
w Krakowie

W nadchodzącą niedzielę, dnia 25 b. m. Kraków a z nim cała Polska złoży hołd ś. p. rotmistrzowi Wąsowiczowi i 14 ułanom z 2 szwadronu, którzy polegli w pamiętnej szarży pod Rokitną i zostali pochowani na cmentarzu w Rarańczy. Celem sprowadzenia ich zwłok z końcem września 1922 r. zawiązał się specyalny Komitet, który mimo nadzwyczajnych trudności rozwinął energiczną działalność celem zebrania odpowiedniego funduszu i przystąpił do realizacyi swego zadania, tj. sprowadzenia zwłok i przygotowania uroczystości pogrzebowej w Krakowie.

Dzięki inicyatywie krakowskiego komitetu zawiązał się nadto komitet polski w Czerniowcach, który rozwinął tak energiczną akcyę składkową, że już w pierwszych dwóch tygodniach zebrano blisko trzy miliony. Pierwszą hojną ofiarę, przeszło jeden i pół miliona Mkp., złożył właściciel Rarańczy, bar. Stefanowicz. Sami włościanie z Rarańczy, którzy pamiętają nieśmiertelną szarżę, złożyli jeden milion Mkp., a zatem połowę tego, co zdołała zebrać cała Polska. Kolonia polska w Rumunii przyjęła na siebie koszta ekshumacyi i przewozu zwłok do granicy, a nadto zobowiązała się wybudować kaplicę pamiątkową na miejscu dotychczasowej mogiły i krzyż pamiątkowy na miejscu nieśmiertelnej szarży.

Uroczystości niedzielne odbędą się według następującego programu. Pochód pogrzebowy zawiąże się o godzinie 12 w południe przy kaplicy szpitala wojskowego przy ul. Wrocławskiej, gdzie zbiorą się przedstawiciele 2-go pułku szwoleżerów rokit. i duchowieństwo. Oddziały załogi krakowskiej i szwadron honorowy 2-go pułku szwoleżerów pod dowództwem gen. Szeptyckiego, ustawią się na placu u wylotu ul. Długiej przed budynkiem szpitalnym. Szkoły średnie i zakłady akademickie zbiorą się i ugrupują do pochodu w ulicy Szlak od strony ul. Krowoderskiej, a reprezentanci stowarzyszeń, instytucyi oraz cechy po przeciwnej stronie ul. Szlak, skąd wstąpią do postępującego pogrzebu bezpośrednio po oddziałach wojskowych, Strzelca i Stow. b. legionistów. Ustawieniem pochodu kierować będą członkowie komitetu obyw. i akademicka straż honorowa. Za duchowieństwem wiezione będą trumny poległych, złożone na lawetach armatnich, w otoczeniu honorowego oddziału 2-go pułku szwoleżerów, za niemi rodziny poległych, a w dalszym ciągu reprezentanci Rządu, Senatu i Sejmu, władz cywilnych i wojskowych, Rady m. Krakowa, którzy oczekiwać będą na przybycie pochodu przy głównem wejściu do kościoła Maryackiego.

Po zatrzymaniu pochodu, nastąpi uroczyste pokropienie zwłok przez Księcia - Biskupa Sapiehę i dekoracya trumien krzyżami „Virtuti militari". Po przemówieniu reprezentanta komitetu obywatelskiego i prezydyum miasta, pochód przejdzie ul. Floryańską wprost na cmentarz krakowski. Pochód zamykać będą oddziały wojskowe, które przy spuszczaniu zwłok do grobu oddadzą salwy honorowe.



Pogrzeb bohaterów rokitniańskich w Krakowie: Groby poległych pod Rokitną ułanów na cmentarzu w Rarańczy.

Komitet wydał do mieszkańców m. Krakowa gorącą odezwę, w której wzywa ogół obywateli naszego miasta do uczestnictwa w uroczystościach pogrzebowych.

Związek polskich artystów plastyków
w Krakowie.

W Krakowie, będącym dotąd centrum artystycznem Polski, oddawna odczuwano potrzebę stworzenia takiego zrzeszenia artystycznego, w którem sami artyści plastycy pomagaliby sobie i radzili o swoich potrzebach. Zasłużone zresztą bardzo krakowskie Towarzystwo Sztuk pięknych, nie może, w myśl swego statutu, spełniać takiej roli, bo łączy w sobie artystów z żywiołami postronnymi.

Dopiero jednak w r. 1921 udało się zrealizować myśl dawno kiełkującą. W tym roku bowiem założono zrzeszenie, którego nazwę podaliśmy w nagłówku.

Związek już od początku istnienia rozszerzył — o ile się dało — swą działalność, na trzy zabory i zgromadził odrazu poważną liczbę uczestników. Celem jego jest: utrzymanie i wznowienie życia artystycznego oraz popieranie materyalne swych członków, którymi są artyści plastycy, a więc malarze, rzeźbiarze i architekci. Jednym zaś z najważniejszych środków, ku temu celowi prowadzących, jest posiadanie własnego domu, o co Związek nieustannie zabiega. Dotąd jednak musi korzystać z gościny w gmachu, przy pl. św. Ducha, ofiarowanym mu przez gminę miasta Krakowa.

Drugim zaś środkiem do wzmocnienia świadomości artystycznej wśród członków Związku jest Czytelnia, gdzie znajdują się wszystkie polskie i dużo zagranicznych czasopism, poświęconych sztuce.

Pozatem Związek organizuje w swym lokalu odczyty i urządza zebrania towarzyskie. Pośredniczy on także przy zamówieniach czynionych u jego członków na obrazy religijne, na ozdabianie wnętrza kościołów polichromią, na budowę ołtarzy itd.

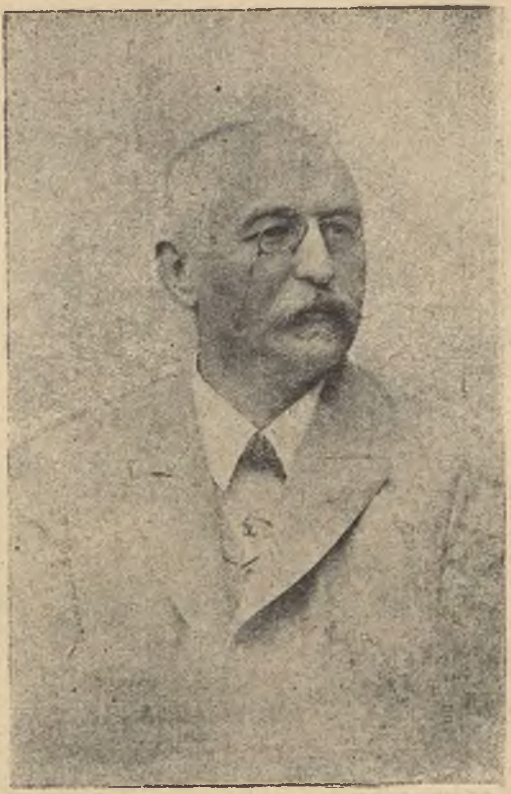
Widomym a dostępnym dla szerokiej publiczności dowodem istnienia Związku i jego coraz silniejszego rozwoju jest stała wystawa, którą obsyłają nasi najwybitniejsi artyści plastycy, jak Malczewski, Axentowicz, Fałat, Wyczółkowski, Wodzinowski, Weiss, Filipkiewicz Stefan i wielu, wielu innych. Pomimo niekorzystnych warunków lokalu, niskie ubikacye, brak światła górnego — nie wahają się artyści posyłać swe dzieła na wystawę Związku, aby podtrzymać jego dobrze zasłużoną opinię, a publiczność chętnie ją odwiedza, czyniąc na niej często poważne zakupy.



Związek polskich artystów plastyków w Krakowie: Zewnętrzny widok „Domu Artystów" na Placu św. Ducha.



Związek polskich artystów plastyków w Krakowie: Wydział Związku. Siedzą od lewej ku prawej: Kl. Mienówna, E. Czerwenka, W. Wodzinowski, A. Sz. Bohuszówna. Stoją: J. Hrynkowski, S. Popławski, I. Krzyszkowski, S. Dąbrowski, M. Filipkiewicz i M. Jabłoński.



Zgon byłego wiceprezesa Koła Polskiego: Ś. p. Paweł Stwiertnia, emer. st. inż. kol., b. poseł do austryackiego parlamentu.

Prezesem honorowym Związku jest mistrz Jacek Malczewski, godność zaś rzeczywistych prezesów piastowali: Stroynowski, Axentowicz, Stachiewicz, Raszka, Kowalski, obecnie prezesem obrano artystę malarza Wincentego Wodzinowskiego.

Wydział, teraz sprawujący rządy w Związku, składa się przeważnie z artystów młodszych, a jego hasłem jest wskrzeszenie dawnego życia artystycznego w tem zrzeszeniu, które biegło szybszem tempem, niż w ostatnich czasach.

Skład wydziału przedstawia się jak następuje: Wiceprezes Erwin Czerwenka, sekretarz Stanisław Dąbrowski i Jan Krzyszkowski, skarbnik Stanisław Żurawski i wydziałowi: Mieczysław Filipkiewicz, Jan Hrynkowski, Mieczysław Jabłoński, Anna Szyszko-Bohuszówna, Stanisław Popławski, Klementyna Mien i Alfred Żmuda.

Wydziałowi temu, któremu przewodniczy tak doświadczona pod każdym względem siła, jak Wincenty Wodzinowski, uda się niezawodnie pchnąć Związek na nowe tory, ku prawdziwemu pożytkowi sztuki polskiej wogóle, a specyalnie artystów plastyków z grodem podwawelskim swą twórczością związanych.

Zgon byłego wiceprezesa Koła Polskiego.

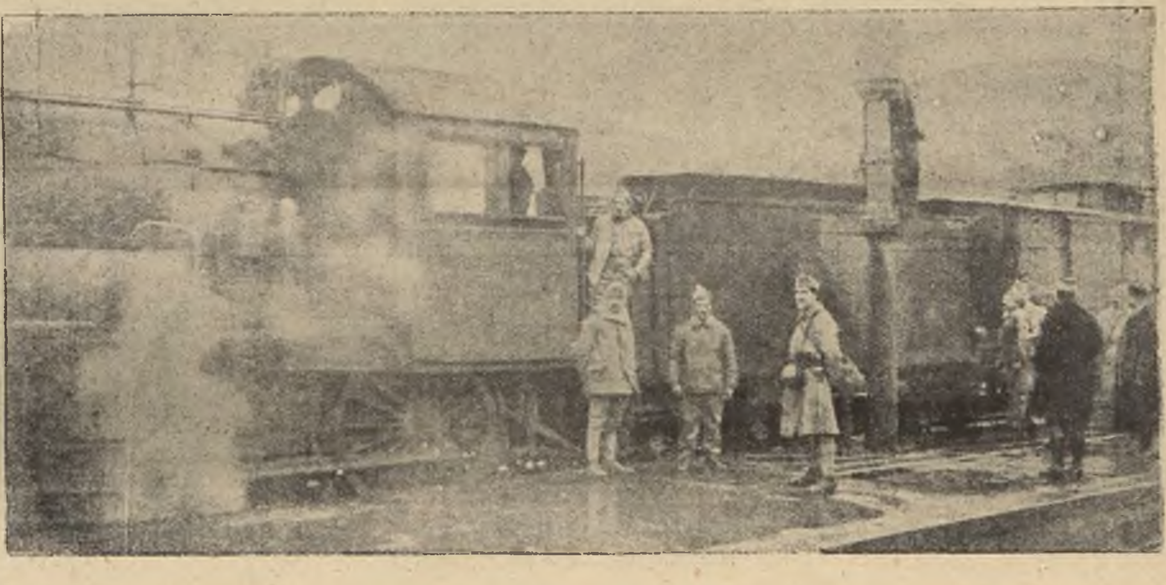
W ubiegłą niedzielę złożono na krakowskim cmentarzu na wieczny spoczynek zwłoki śp. Pawła Stwiertni, emerytowanego starszego inżyniera kolejowego, byłego posła do austryackiego parlamentu z okręgu stanisławowskiego i wiceprezesa Koła polskiego we Wiedniu.

Śp. Paweł Stwiertnia, zasłużony pracownik na niwie społecznej i narodowej, zmarł w 69. roku życia w naszem mieście, gdzie osiadł po przejściu na emeryturę, w zapomnieniu i prawie niedostatku, choć pracą dla dobra ogółu zasłużył sobie na lepszą pamięć polskiego społeczeństwa.

Gorący patryota i sumienny pracownik w swym zawodzie, poświęcił Zmarły swe siły i zdolności na usługi kolejnictwa, zyskał też mir i uznanie u współpracowników, którzy widzieli w Nim energicznego poplecznika interesów polskiego kolejarstwa. To zaufanie i uznanie dało mu mandat poselski do parlamentu, gdzie pokładanych nadziei nie zawiódł. Jego zasługą było upaństwowienie robotników warsztatów kolejowych, on spowodował upadek gabinetu Witteka za samowolne przekroczenie budżetu budowy kolei alpejskich. W Kole Polskiem odgrywał ważną rolę zwłaszcza w zakresie spraw dotyczących kolejnictwa, w szczególności galicyjskiego.

Śp. Stwiertnia pracował też wydatnie nad rozwojem ducha narodowego i życia kulturalnego wśród polskich kolejarzy, co ściągnęło Nań prześladowania ze strony władz centralnych. Za założenie Czytelni dla polskich kolejarzy w Stryju przeniesiony został w drodze dyscyplinarnej, już w pierwszych latach swej karyery urzędniczej, do Solnogrodu, co jednak Jego ducha nie złamało, takim, jakim był za młodu, pozostał do ostatnich dni zasłużonego żywota.

Z Pawłem Stwiertnią schodzi do grobu jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskich ewangelików.



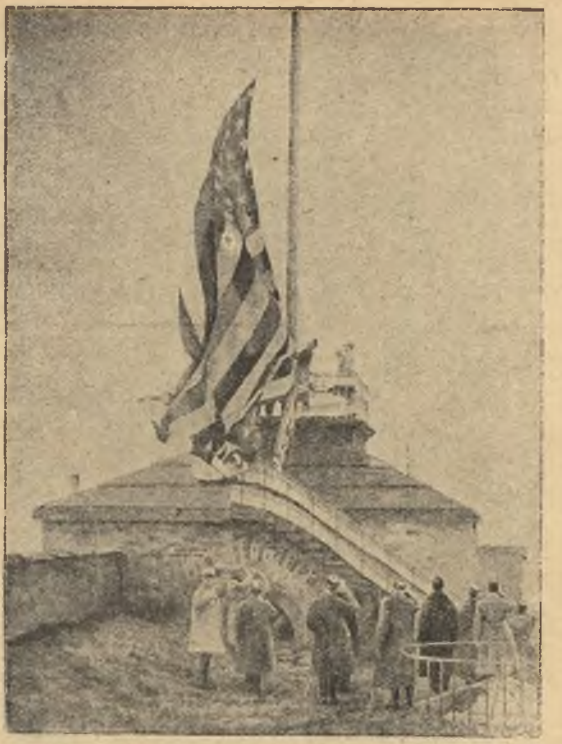
Z okupowanej Nadrenii: Francuscy kolejarze, obejmujący w Dusseldorfie obsługę pociągu, opuszczonego przez strajkujących Niemców.



Z okupowanej Nadrenii: Odmarsz wojsk amerykańskich z Koblencyi w dniu 24. stycznia b. r.

Po egzekucyi Eligiusza Niewiadomskiego.

Zamieszczone w niniejszym numerze fotografie są to zdjęcia z miejsca egzekucyi Eligiusza Niewiadomskiego w cytadeli warszawskiej. Na jednej z nich widzimy słupek, przy którym dokonano egzekucyi. Druga fotografia przedstawia tymczasowy grób Niewiadomskiego w cytadeli. Na tym świeżo usypanym grobie widnieje tabliczka z numerem LVI. Trzeciego zdjęcia dokonano po ekshumacyi zwłok Niewiadomskiego. Widzimy tam świeżo rozkopany grób i ludzi opuszczających cytadelę.



Z okupowanej Nadrenii: Zdjęcie sztandaru amerykańskiego z fortecy Ehrenbreitstein pod Koblencyą.

Republika czeska w żałobie.

Nadzieje, że ofiarę skrytobójczego zamachu, czeskiego ministra skarbu, dra Raszina, uda się utrzymać przy życiu, wbrew oczekiwaniom zawiodły. W niedzielę, dnia 18 lutego b. r. zmarł, a zgon jego okrył ciężką żałobą rząd i naród czesko-słowacki.

Na pierwszą wiadomość o zgonie dra Raszina zebrała się rada gabinetowa na specyalne uroczyste posiedzenie, na którem, po gorącem wspomnieniu zasług zmarłego około tworzenia i rozwoju samodzielnego państwa czeskiego, uchwalono jednomyślnie urządzić pogrzeb na koszt państwa w dniu 21 lutego b. r. i ogłosić żałobę narodową. Na miejscu, które podczas posiedzeń zajmował zwykle dr. Raszin, złożono wieniec laurowy, okryty krepą.



Republika czeska w żałobie: Ś. p. dr. A. Raszin, czeski minister skarbu.

Z okupowanej Nadrenii.

Pomimo klęski, jaką ponieśli Niemcy w wojnie światowej, nie wyrzekli się swej buty. Świadczy o tem wymownie ich zachowanie się wobec represyjnych zarządzeń Francyi, przewidzianych traktatem wersalskim, który Niemcy przecież podpisały. Na okupowanym przez Francuzów terenie stawiają oni opór na każdym kroku. Urzędnicy niemieccy odmawiają posłuszeństwa, kupcy i kolejarze uprawiają bojkot Francuzów, a agitatorzy niemieccy usiłowali wywołać strajk robotników i kolejarzy, a nawet podburzyć ich do sabotażu. Władze francuskie z taktem, spokojnie, ale energicznie i z żelazną konsekwencyą zmierzają do celu, a wszystkie knowania Niemców kończą się niepowodzeniem. Opornych urzędników wydalono, strejki robotnicze w zarodku stłumiono, a na kolejach, gdzie część personalu niemieckiego opuściła służbę, objęli służbę Francuzi. Opór Niemców na nic się nie przydał i wywołał tylko ostrzejsze zarządzenia, których z początku władze francuskie unikały.

Zaznaczyć należy, że represyjną akcyę przeciw Niemcom prowadzi tylko Francya i Belgia. Anglia nie bierze w tem żadnego udziału, a wojska amerykańskie są teraz właśnie wycofane z Nadrenii.

Jedna z naszych illustracyi przedstawia wymarsz wojsk amerykańskich z Koblencyi, a druga przejęcie twierdzy Ehrenbreitstein pod Koblencyą przez Francuzów. Nadto zamieszczamy fotografię, przedstawiającą moment objęcia przez Francuzów kolei w Düsseldorfie.



Po egzekucyi Eligiusza Niewiadomskiego: Grób w Cytadeli, w którym złożono tymczasowo zwłoki Niewiadomskiego po egzekucyi.





Po egzekucyi Eligiusza Niewiadomskiego:

Słupek, przy którym rozstrzelano Niewiadomskiego.

Grób Niewiadomskiego w Cytadeli po ekshumacyi jego zwłok.

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

4) **Powieść z francuskiego**

— Gdybym był do tego stopnia szalony, iż chciałbym korzystać z przyrzeczenia, które pani rozpacz podyktowała, pani pogardziłabyś mną — i słusznie. Ale zanadto ją kocham, by wyzyskiwać. Od pierwszej chwili, gdy panią ujrzałem, byłaś pani dla mnie zjawiskiem niebiańskiem. Odtąd żyłem tylko przez nią, dla niej i pomimo wszelkiej wzgardy i obojętności dawniejszej, jeden jej widok dawał mi więcej szczęścia, aniżeli go doznałem dotąd kiedykolwiek w życiu. Przybyłem tu jedynie za panią. Gdyby się pani udała na koniec świata, to sądzę, że i w takim razie rzuciłbym wszystko, by iść za panią. Usługa, jaką pani wyświadczyłem, a którą chce pani okupić tak drogo, w istocie samej nie wiele warta. O! dlaczegóż nie mogę wyświadczyć pani ważniejszych, choćby okupionych ceną mojego życia! Pozwól pani, bym się dał jej poznać!... Później, gdy pani zechce należycie ocenić moje uczucia, gdy poznasz moje przywiązanie, gdy choć w setnej części będziesz miała tyle serca dla mnie, ile ja dla niej... O! wtedy!... ale tylko wtedy, gdy serce rzuci ją w moje objęcia, tak jak wdzięczność rzuciła przed chwilą — wtedy uczynisz pani ze mnie najszczęśliwszego w świecie człowieka!

XXIII.

Gdym to mówił, hrabina wydała się zrazu zdziwioną, potem rozrzewnioną, w końcu zachwyciła się. Zapewne nie miała nawet pojęcia o takim trybie postępowania. Zaledwie wymówiłem ostatnie wyrazy, wstała i z uniesieniem uścisnęła mi rękę.

— Dobreś pan sobie postąpił — rzekła. — Pan jesteś człowiek uczciwy, delikatny, rozsądny. A jednak... pogardzasz mną... nieprawdaż?

— Kto? ja? wielki Boże! jak pani może przypuszczać coś podobnego?!

Łagodność jej spojrzenia, szczególnie uroczy jej smutek, jaki w tej chwili odbił się na jej twarzy, wprawiły mnie w najsłodsze uniesienie. Domyślałem się. że chce jeszcze mówić o sobie, a czułem się pod wpływem takiego uroku, iż gotów byłem uwierzyć wszystkiemu co powie.

Ale wkrótce przybrała znowu poważną minę.

— Jak tu teraz zrobić — rzekła — by zmusić księcia do opuszczenia Aix?

— Czyż koniecznie potrzeba, by odjechał?

— Ależ... naturalnie.

— A więc dobrze — powiedziałem po niejakim namyśle — spuść się pani w tem na mnie.

Być może, iż dopatrzyła cień pogróżki w moim wzroku, gdyż rzekła:

— Nie chcę, byś go pan wyzywał, nie chcę nawet, byś pan z nim mówił; przynajmniej-byś mu się pan przyznał, żeś zabrał moje listy. Książę zdolnym jest do uczynienia wszystkiego, być może, iż nie zawahałby się nagadać panu rzeczy niestworzonych... kłamstw, któreby sam sobie w gniewie wymyślił, a pan mógłby uwierzyć mu.

Gdy to mówiła, w oczach jej malował się tak wielki przestrach, iż nie mogłem wstrzymać się od zapytania w duchu samego siebie, jaka też tajemnica mogła istnieć między nią a księciem. Każdemu innemu na mojem miejscu przyszłoby na myśl to samo.

Ale należało odpowiedzieć.

— Jak pani może przypuszczać — rzekłem — bym uwierzył kłamstwom księcia?... i, bym dał mu tyle czasu, by panią mógł spotwarzyć?

— Kto wie! Słowo wymyka się prędko!

— Ale jeżeli pani chce, bym wcale z księciem nie mówił — to jakże zmuszę go do odjazdu?

— Ach! — zawołała z niewymownie ujmującym wyrazem oczu i dźwiękiem głosu — tu potrzebna będzie, jak to pan wczoraj powiedział, nie tyle siła ile zręczność, nie tyle gwałtowność, ile roztropność. Czy panu nic na myśl nie przychodzi? Wróć pan do hotelu, aby nie dopuścić do jakiej awantury, gdy książę spostrzeże, że listy znikły i pamiętaj o tem, com ci zalecila.

XXIV.

Przyznam się, iż żadną miarą nie mogłem wystawić sobie, co tu począć, by zrobić wszystko tak, jak tego chciała hrabina. Chciałem jej być posłusznym, ale nic nie mogłem wymyślić. Postanowiłem spuścić się na okoliczności.

Posłużyły mi one.

Powróciwszy do hotelu, zastałem wszystko w wielkiem wzburzeniu. Książę wszedłszy do pokoju i ujrzawszy rozłamaną szkatułkę, narobił krzyku. Zrazu myślał, że mu skradziono wszystkie kosztowności, jakie miał z sobą. Bliższe rozpatrzenie wyprowadziło go z błędu. Brakowało tylko pudełka z listami. Domyślił się prawdy.

Nie mógł wierzyć temu, by hrabina dostała się do apartamentu; ale jeżeli nie ona, to któż?

Na krzyk jego nadbiegł właściciel hotelu, a z nim dziesięć innych osób.

Gdym stanął na progu, zapytywano właśnie księcia, co mu skradziono. W odpowiedzi coś bełkotał, nie ośmielając się wyznać prawdy.

— Czy ja wiem! — powiedział książę w końcu.

— Jakto? książę nie wie?

— A tak... wiem... bardzo ważne papiery!

— Jakie papiery?

Tu znowu książę przygryzł usta, zakłopotał się i tylko gniewnie powtarzał:

— Ktoś tu był, okradł mnie.

— Ależ... — mówiono mu — tu nikt wejść nie mógł; z dwóch kluczów od apartamentu jeden ma książę w kieszeni, a drugi jest w kasie hotelowej.

— I cóż z tego! — krzyczał książę. Może kto wszedł do pokoju tędy.

I gryząc usta ze złości, wskazał na moje drzwi.

Skorzystałem z tak pomyślnej okoliczności i z zuchwalstwem, na które nie sądziłem, iż potrafię zdobyć, rzekłem, podchodząc bliżej;

— Za pozwoleniem! Czy to mnie pan obwiniasz, żem wchodził do jego pokoju?

— Ależ... wcale nie!

— W takim razie, wytłómacz się pan.

— Tak, tak! wytłómacz się pan! — Wołano ze wszystkich stron. — Trzeba wyjaśnić tę sprawę. Wszyscy mieszkańcy hotelu są w niej interesowani. Trzeba, abyś raz wobec wszystkich przejrzał i przeliczył swe rzeczy i pieniądze, przekonamy się, czy czego braknie.

— Ależ nic mi nie wzięto z rzeczy moich, ani z pieniędzy, raz jeszcze powtarzam! — krzyczał książę.

— Sprowadzić komisarza policyi! — zawołał naraz właściciel hotelu.

Na te słowa zadrżałem.

Na zamku w drzwiach mogły pozostać ślady włamania; a przytem obawiałem się, by książę, doprowadzony do ostateczności, nie zapomniał się i nie skompromitował hrabiny.

Na szczęście nędznik ten drżał tak, jak i ja.

Powiedział w końcu, iż być może, sam, niezręcznie otwierając swą szkatułkę, nadwerężył zamek, a papiery, których nie znalazł, mogły pozostać w Paryżu, że zdaje mu się, iż zabrał je z sobą, ale też może się myli.

Był tak zakłopotany tem, że narobił hałasu i obudził podejrzenie, jakoby go okradziono, iż po chwili wszyscy patrzyli na niego z przykrem zdziwieniem. Każdy odchodząc, ruszał ramionami.

Zostaliśmy sami z księciem. Zdawało mi się, że tylko jedna osoba domyślała się poniekąd prawdy; a mianowicie służący hotelowy, który dostarczył mi wyjaśnień, co do trybu życia księcia. Nie bez przerażenia zauważyłem, że podczas całej tej sceny pilnie wpatrywał się we mnie i uśmiechał się z podełba, jak człowiek zadowolony, iż odkrył tajemnicę, która wprowadziła w błąd wszystkich.

Ale czy to, że miał złość do księcia, czy też z innego powodu, nie wyrzekł ani jednego słowa, któreby mogło mnie skompromitować i od owego czasu, jak gdyby odgadł, że w tem pochwyceniu listów ukrywał się czyn uczciwy — zawsze, ile razy mię spotkał, uśmiechał się, kłaniając się aż do ziemi.

XXV.

Znalazłszy się sam na sam z księciem, usiadłem i począłem wpatrywać się w niego tak zimno i z taką pewnością, iż zdało mi się, że poczyna domyślać się prawdy.

Tembardziej zirytowany śmiesznością swego położenia, wobec którego pogróżka, z jaką się wyrwał u hrabiny, stała się prostem samochwalstwem, czekał on, bym mu bliżej wyjaśnił, czego mianowicie wymagano od niego.

Może sądził, iż szukam z nim kłótni. A ponieważ odzyskał już swą zimną krew i ułożył, jak się dowiedziałem później, plan wynagrodzenia sobie poniesionej straty i odzyskania przewagi nad hrabiną, silił się więc na to, by okazać się spokojnym i cała jego postawa i twarz okazywały tylko chęć pogodzenia się.

Ja z mej strony, chcąc jak można najściślej, spełnić zlecenie hrabiny, to jest, nie dopuścić do tego, by się między nami wywiązała sprzeczka o nią, nie wiedziałem, jak się z tego wywiązać.

Sam książę wybawił mię z kłopotu i to z uprzejmością i dobrodusznością, która mię zdumiała.

— Chcą, bym znikł, czy tak panie? — powiedział tonem bardzo łagodnym, prawie wesołym.

— Czyż to nie najlepsze ze wszystkiego, co pan zrobić możesz? — odpowiedziałem.

— Niema co mówić! Nie bardzo piękną rolę miałem w całej tej głupiej awanturze. — To rzekłszy, skłonił mi się, zadzwonił i gdy wszedł służący, zapytał go, o której godzinie odchodzi najbliższy pociąg.

— O piątej — odpowiedziano mu.

— A zatem o piątej wieczorem wyjeżdżam.— I wykręciwszy się na pięcie, począł się śmiać.

Odszedłem, zdziwiony tą zuchwałością charakteru i tem, że mi wszystko poszło tak gładko, nawet poniekąd niezadowolony, iż cała rzecz kosztowała mię tak mało trudu i nie podejrzewając, niestety! — jakie to wszystko skutki za sobą pociągnie. Sądziłem, że książę cofnął się przed możliwością pojedynku.

Jak dalece myliłem się, o tem przekonają dalsze wypadki.

XXVI.

Książę, tak jak zapowiedział, odjechał o piątej. Tego samego wieczora poszedłem do hrabiny.

Opowiedziałem jej wszystko, co zaszło. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu, słuchając opisu sceny, jaka się odbyła w pokoju księcia, w obecności kilkunastu osób. Tak szczęśliwie musiałem przedrzeźniać ruchy i piekielny głos księcia, iż zdawało się jej, że go samego słyszy.

— Jaki pan dowcipny! — zawołała — sama nie wiem, jak się to stało, żem nie poznała się na panu.

Ale, gdy zachęcony powodzeniem, począłem opowiadać moją rozmowę z księciem, która, chociaż krótka, była szczególniejsza, niż wszystko, hrabina zamyśliła się.

— A zatem, teraz pani może być spokojną — rzekłem.

— Kto wie? — odpowiedziała. — Książę jest bardzo podstępny.

— Miałażby pani obawiać się jego podstępów? A zresztą, czyż niema tu mnie, bym je wszystkie zniweczył?

Spojrzała na mnie z uwagą, jakby z rysów moich wywnioskować chciała, czego może się odemnie spodziewać w walce z przeciwnikiem, który, jak to sama wiedziała, był straszliwy.

Nie wiem, czy badanie to wypadło dla mnie przychylnie. Hrabina zrobiła minkę powątpiewającą.

Wszystko to bynajmniej mnie nie zadowolniło.

XXVII.

Na drugi dzień sądziła, że będę żądał od niej nagrody za moją usługę, ale widocznie mało mnie znała.

Rozmawiałem z nią tylko o niej, o zdrowiu jej dzieci, o tem, co należy przedsięwziąć dla zachowania reputacyi, o tem, jak trzeba się mieć na ostrożności i trzymać się zdaleka od ludzi w rodzaju księcia. Nakoniec przedstawiłem jej, jakby na mojem miejscu postąpił każdy człowiek delikatny i dbający o szczęście i ogólne poważanie kobiety, którą kocha.

Zrozumiała, iż postępując takim trybem, z przywiązaniem pełnem uszanowania, skończę na tem, iż pozyskam wielką nad nią przewagę i wyznała mi później, iż nie było jej nie miłem dopatrzeć we mnie zaraz na wstępie wyższość, pełną serdeczności.

Są pewni ludzie, starający się w tem, co dotyczy miłości, działać, o ile można, wstępnym bojem, że się tak wyrażę; dla takich wszystkie

środki są dobre, byle czemprędzej mogły ich doprowadzić do celu.

Ja, kochając po raz pierwszy, chciałem przedewszystkiem nie pozbawić uroku, nie oskubywać z kwiatów związku, który się tak ponętne zapowiadał.

Materyalnie związek ten stracił dla mnie największe swe powaby.

Zresztą, gdyby hrabinie samej nie przyszło na myśl, iż nie skwitowała się ze mną, poczytałbym sobie za obowiązek honoru zapomnieć o jej obietnicy. Uczucie jakiem byłem dla niej przejęty, było tego rodzaju, iż nad niczem tyle nie pracowałem, ile nad tem, by sama zapomniała o tem co przyrzekła.

Wiem, że nie jeden mężczyzna, nie jedna kobieta uśmiechnie się, czytając to, ale jestem z tych ludzi, na których naśmiewanie się nie wiele wywiera wpływu, przedewszystkiem, staram się rządzić tylko według zasad, które już należycie obmyślałem.

Hrabina uskarżała się na wielką niewygodę zajmowanego pomieszkania. Doradziłem jej, by wynajęła wiejski dom niedaleko miasta.

Zaraz na drugi dzień wyszukałem jej wiejski dom nad brzegiem jeziora, z dużym ogrodem, z którego widok sięgał aż do opactwa Hantecombe. Gaj stuletnich kasztanów przedłużał ten ogród aż do podnóża gór. Stamtąd spadał potok wijący się w cieniu drzew.

Dom ten, odosobniony, nawpół osłonięty kwiatami, nadzwyczaj podobał się hrabinie. W tym samym dniu przeniosła się do niego. Nigdy nie widziałem jej tak uśmiechniętej, uroczej, tak swobodnej jak wtedy. Rzekłbyś, że ma piętnaście lat.

— Teraz — powiedziała mi, gdyśmy już razem po raz dziesiąty obejrzeli całą tę małą posiadłość — teraz będziesz pan tu codziennie przychodzić.

— Jeżeli będę przychodzić tak często, to skończy się na tem, iż panią skompromituję. Ciągła obecność moja zdziwi służbę pani, stąd powstaną tysiące komentarzy, które mogą panią obrazić. Ja chciałbym nic nie zmieniać w trybie życia pani.

— Szczególny pan jesteś człowiek! Ciągle myślisz pan tylko o mnie.

— Bo kocham panią dla niej samej.

— Ale... czy kochasz mię pan naprawdę?... — I ująwszy mię za obie ręce odwróciła twarzą do siebie.

Długo patrzała mi w oczy swemi cudnemi, bezdennemi oczami.

Nie wiem jaki wyraz dostrzegła w moich, ale ruszyła ramionami i poczęła się śmiać. Zapewne pojmowała miłość na swój sposób, a ja na mój.

Po długiej naradzie, podczas której przytoczyłem jej mnóstwo racyi, by nie dowierzała zbytnio swym służącym, ułożyliśmy się tak, że będę przychodzić tylko dwa razy na tydzień dla złożenia jej wizyty — a wieczorem będziemy się spotykać w samotnym pawilonie, znajdującym się w lesie kasztanowym.

XXVIII.

Wszystkie te ostrożności hrabina znajdowała śmiesznemi, ale rozczuliły ją one, gdyż pojmowała, że pozbawiając się możności widywania jej tyle razy, ilebym pragnął, sam sobie nakreślałem ścieśniające granice.

Ale ciągle obawiała się nudów. Przywykła być ciągle otoczoną, przechodzić od rozrywki do rozrywki, nigdy nie mając czasu na zastanowienie się. Teraz ciągłem mojem zajęciem stało się rozrywki wyszukiwać dla niej. Byłem tyle szczęśliwy, iż mi się to udawało przy użyciu jedynie środków, jakie znajdowałem we własnym rozsądku.

Skończyło się na tem, iż czasem oczekiwała mnie z niecierpliwością, dorównywającą mojej własnej. Sama wychodziła naprzeciw mnie, rumieniąc się gdy mię ujrzała. Nie puszczała mnie, nie chciała byśmy się rozstali i dręczyła mnie tysiącem kaprysów.

Jej wdzięk, jej piękność trzymały mię ciągle pod wpływem szczególnego uroku.

Powoli nastała pomiędzy nami poufałość niesłychanie ponętna. Zawsze jednak nie przestawałem obchodzić się z nią z całym szacunkiem, do jakiego obowiązany jest mężczyzna względem kobiety, którą kocha. Zdawało się, iż zabiegi, jakimi ją otaczałem, podobają się jej.

Ale zawsze spoglądała na mnie z pewnem zdumieniem. Coś ją mocno dziwiło w moim charakterze. Nie mogła się oswoić z tem, że chociaż tak zakochany, pozostawałem zawsze panem siebie, żem mówił jej o miłości w wyrazach najnamiętniejszych, a potem nagle odchodził, jak gdybym się obawiał uledz jakiej pokusie.

Pewnego wieczora, w tydzień po przeniesieniu się jej do wiejskiego domu, widząc, że tak nagle odchodzę, powiedziała mi z niezadowoleniem:

— Powiedz mi pan nareszcie, czyś pan mężczyzna, czy ksiądz?

XXIX.

Niestety! zanadto dobrze dowiodłem jej, żem był mężczyzną!

Namiętność, którą mnie hrabina natchnęła, przekroczyła wszelkie granice, jakie sobie sam nakreśliłem. Nigdy nie przypuszczałem, by kobieta była w stanie wywrzeć na mnie wpływ tak potężny. Literalnie istniałem tylko dla niej i przez nią. Po za nią nic w świecie nie obchodziło mię. Gdyby ktoś był przyszedł i powiedział mi, że świat cały runął, przepadł w jakimś kataklizmie, wątpię by mię to obeszło cokolwiek.

Szczęście ma w sobie tę niemoralną stronę, iż człowieka niesłychanie samolubnym. Choćby był nie wiem jak wspaniałomyślny — jak tylko czuje, że kocha i jest kochanym, cała ludzkość przestała już dlań istnieć. Wszystkoześrodkowuje się wtedy w kobiecie, która oczarowała. Kobieta ta, uległszy miłości, staje się w oczach swego kochanka, czemś niezmiernie wzniosłem i świętem. Przekonanie, do którego dochodzimy wtedy, iż nakoniec znaleźliśmy i posiadamy istotę, uzupełniającą nas, nagła obojętność jaką wtedy uczuwamy ku wszystkiemu co nie jest nią, nagła jasność przechodząca nam z serca do umysłu i spływająca stamtąd potokiem na życie, tak iż zdaje się nam, iż wykryliśmy najwyższy cel jego, ta duma roznamiętniająca nas i przekonywająca o wyższości naszej, nieograniczona ufność napełniająca nam duszę; wysoka cena, jaką nadajemy najmniejszej rzeczy dotyczącej naszej namiętności — wszystko to tworzy stan pełen rozkoszy, nie mającej nic równego sobie. Miłości! Ten tylko kto poznał twę rozkosze, może się szczycić tem, że żył.

Hrabina nigdy nie była kochaną tak bezwzględną miłością, albo raczej nigdy nie była rzeczywiście kochaną. Nawet sama nie miała pojęcia dotąd o takiem istnieniu, całkiem przejętem istnieniem innem, o takiem namiętnem uczuciu, nieprzerwanie podsycanem niewyczerpanemi zasobami siły i młodości. Namiętność moja miała w sobie coś bałwochwalczego, dochodziła do ekstazy.

— Szczególny z pana człowiek — powtarzała mi ciągle pani Chalis.

Kochała mię zaś na swój sposób, to jest, na sposób, który mógłbym nazwać „porównawczym". Chwilowo ujarzmiona, nagle odzyskiwała całą władzę nad sobą.

Zachwycało ją, gdy w najnamiętniejszem uniesieniu, wpatrywałem się w jej twarz cudną. Ale nie czuła się ani zastraszoną mojem wzrokiem, ani ulegającą memu uniesieniu. Zupełnie spokojna ze swemi niebieskiemi oczyma, ustami, nawpół otwartemi do cudnego uśmiechu, zawsze zdawało się, jakby cała była zatopioną w wewnętrznej kontemplacyi, która więcej niż moje pieszczoty podnosiła jej ducha i wiodła w taką dal, iż mnie już z niej nie dopatrywała.

Wtedy wypytywała mnie — a nie było sposobu nie odpowiadać, gdyż była rozkazującą i wszystko chciała wiedzieć.

A gdym wyznał jej moje wątpliwości, klaskała w ręce i wołała:

— Boże! jakiż pan głupi!

XXX.

Naprożno dawałem jej najzdrowsze rady, nie słuchała ich. Niepodobieństwem było dla niej poddać się jakiemukolwiek przymusowi. To, czego żądała, musiało się stać natychmiast.

Powoli doszło do tego, żem wszystkie chwile przepędzał z nią razem. Przychodziłem codziennie koło południa. Zdaleka już widziałem ją na drodze, zdążającą ku mnie, w ubiorze nawpół wykwintnym, a nawpół męskim, który pierwsza poczęła nosić, a który potem przyswoiły sobie wszystkie kobiety; w krótkiej sukni i czarnej, kaszmirowej katance, wyszywanej szklanymi paciorkami i świecidłami, czerwonej wełnianej spodniczce, poza suknią wystającej, wysokich bucikach, misternie wyszywanych, szarych skórzanych rękawiczkach, kapelusiku, zwanym talerzykiem, ze wstążkami do ziemi sięgającemi i żartobliwie nazwanemi „idź za mną".

Tak ubrana, w sutych splotach włosów, spadających na ramiona, opierając się na parasolku z rączką ze słoniowej kości, szła tuż obok mnie; a słoneczne promienie połyskiwały na szklanem wyszyciu katanki, która zdaleka wydawała się, jakby czarna zbroja.

Chodziliśmy między skałami, wyszukując jakiego zakątka wśród drzew. Tam usiadłszy na wonnym mchu, nad brzegiem szemrzącego strumienia, w cieniu kasztanowych konarów, całemi godzinami wiedliśmy przecudne rozmowy. Przed nami roztaczało się ogromne, bezdenne jezioro, szafirowe, spokojne, z lekkim wieńcem piany przy brzegach. Ponad głowami przeciągały milczące chmury, zacieniając miejscami płaszczyzny i góry.

Co wieczór, gdy noc nadchodziła, znowu spotykałem się z nią... Wsuwałem się przez płot, osłonięty roślinami, oddzielający ogród od drogi i szedłem, wyciągnąwszy ręce pomiędzy drzewami ku ukrytym drzwiom, gdzie czekała na mnie.

Szliśmy następnie razem do niewielkiego pokoju odosobnionego. W wiejskim domu wszyscy spali: służba i dzieci, a jednak rozmawialiśmy cicho, nawet i nie rozmawiali. Usta nasze nie pot zebowały słów, by wyrazić nasze uczucia.

Tych cudnych wieczorów, oświetlonych tylko drżącymi promieniami gwiazd, owianych wonnym zefirem gór, pełnych zapachu róż i jaśminów, tych wieczorów, pełnych ciszy, uniesień i uścisków, nie zapomnę nigdy, choćbym żył tysiąc lat i choćby po nich nastąpiły inne, gorzkie i samotne.

XXXI.

Czasami rozdzielały nas tyrańskie wymagania świata. Zdarzały się dnie, w których hrabina przyjmowała mnóstwo gości. Były to po większej części osobistości wysokiego urodzenia, lub wysoko położone, należące do wszystkich narodowości świata, a które, udając się do Szwajcaryi lub Włoch, w przejeździe przez miasto Aix, sądziłyby, iż grzeszą przeciw towarzyskim przepisom, gdyby po drodze nie złożyły wizyty hrabinie.

W takich dniach rozpaczałem, gdyż wszystek czas, który poświęcała tym obojętnym ludziom, zmniejszał ilość chwil, do mnie należących.

Hrabina poddawała się tym towarzyskim wymaganiom ze spokojem umysłu, który mnie dziwił niezmiernie.

Podczas, gdy siedząc nadąsany, przerzucałem kartki albumów, w jakim kącie salonu, pani Chalis z największą swobodą i uprzejmością robiła honory domu, najgrzeczniej zatrzymywała mężczyzn na obiad, kobietom ofiarowywała swoje ekwipaże dla przejażdżek po okolicy, nie myśląc wówczas o mnie, tak jak gdybym był niczem więcej, jak sprzętem jakim.

Prawda, że goście ci, tak mnie niecierpliwiący, przywozili jej nowiny z Paryża, zdawali sprawę z plotek, krążących tam od chwili jej wyjazdu, uwiadamiali o nowych modach, małżeństwach mających się zawrzeć, opowiadali anegdotki, w których działającemi osobami były aktorki pomniejszych teatrów, lub inne kobiety; o projektach rozrywek, układanych na zimę, zmianach w składzie poselstw. Niektórzy przywozili listy z Trouville, Baden, Ems, słowem ze wszystkich tych miejsc, do których przenoszą się próżniacy paryzcy w czasie upałów.

Wszyscy prawie mówili jej o księciu Titiane, jedni z zamiarem złośliwym, inni bez żadnego namysłu. Sądzono, że znajduje się w Aix. Czy nie był tu? Dokąd więc pojechał? Pytania te sprawiały mi mękę niewymowną, ale bynajmniej nie zdawały się żenować hrabiny. Tak umiała panować nad sobą, iż mówiła o księciu z największą naturalnością, jakby o swym własnym mężu.

XXXII.

Byłem szczęśliwy! Te chmury od czasu do czasu zaciemniające nasz horyzont i rozdzielające nas chwilowo, sprawiały, że następnie tem świetniej błyszczało słońce na lazurowem niebie naszej miłości.

Ale natura ludzka jest nienasycona. Bywały dnie, w których czułem, jak smutek ogarnia mi serce. Coś podobnego do upokorzenia zaciemniało czystość obrazu żyjącego we mnie. Wtedy myślałem o panii Chalis tyle tylko, ile myślałby o niej każdy obojętny człowiek, któryby przypadkiem poznał tajemnicę jej życia.

Wspomnienie o tem, co zaszło między nią a mną z powodu księcia, przerażenie, jakiem nabawiły ją listy, przerażenie takie, iż zaledwie dawało się wytłómaczyć stosunkami najściślejszymi, przekonanie, że domyślałem się natury tych stosunków, a wskutek tego oburzenie na podobny wybór, myśl, że hrabina oddała się temu człowiekowi bez rozumu i obyczajów, w którym nie było nic takiego, coby mogło wytłómaczyć błąd kobiety — wszystko to gnębiło mię, zmniejszając wartość posiadanego skarbu.

Nikt nigdy bezkarnie nie pozwala rozumowi wdawać się w analizę pewnego rodzaju miłości: raz zacząwszy zastanawiać się nad przedmiota mi głębokimi, a niezupełnie wyjaśnionymi, jak: namiętność, obowiązek, umysł z natury swej przywykły do poszukiwań i badań, nie może się już powstrzymać na tej drodze.

Nie dość mi było zatem myśleć o księciu; ponieważ ostateczną treścią moich refleksyj była hrabina, więc zacząwszy myśleć o nim, kończyłem zawsze na zastanawianiu się nad nią.

Wtedy przychodziło mi na myśl, że ta kobieta, tak piękna, tak wysoko położona przez swe związki rodzinne i majątek — i mnie tak prędko uległa.

Sama przyczyna, która doprowadziła ją do tego, miała w sobie coś takiego, co zdawało mi się być raczej wynikiem dumnej wdzięczności wielkiej damy, aniżeli miłości.

A gdyby kto inny, a nie ja, znalazł się wtedy na mojem miejscu, któryby również potrafił oddać jej listy!...

Ta myśl dręczyła mnie.

A potem przyłączały się do niej inne jeszcze. Ta kobieta, którą kochałem całą siłą mej duszy, miała męża. Człowiek ten mógł nie wiele zajmować się nią, pozostawić samą z dziećmi, w zaniedbaniu, którego nie usprawiedliwiał ani wzgląd na własne jego zdrowie, ani owa arystokratyczna obojętność, uchodząca w oczach niektórych ludzi za dowód dobrego tonu — zawsze jednak należała ona do tego człowieka; nie mogła kochać innego, nie zwodząc go. Ta potrzeba szacunku dla istoty ukochanej, którą wszyscy ludzie uczuwają, której źródłem jest duma najsłuszniejsza, to tak łatwe do wytłómaczenia pragnienie, by kobieta ukochana stała w opinii publicznej równie wysoko, jak we własnem naszem przekonaniu — wszystkie te potrzeby mej duszy nie znajdowały zadowolenia. Posiadanie takiej kobiety, czego pozazdrościliby mi wszyscy — pochlebiało mojej miłości własnej, zadawalniało moją namiętność, ale nie zadawalniało sumienia.

Często — ze szczególną goryczą, której hrabina bynajmniej nie spostrzegała, myślałem w duchu, iż gdyby urodzona była w tym co ja stanie, gdybym był jedynym człowiekiem, któregoby pokochała, gdybym wziął ją, młodą dziewczynę, by wraz z miłością dać jej moje nazwisko, że w takim razie żadna z tych myśli, dziś mię dręczących, nie miałaby miejsca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SEWER.

HANKA.

NOWELA.

3)

(Dokończenie).

I ona nie pójdzie po niego — nigdy — nie zobaczy go — nigdy!... „Nigdy" — szumiało jej w uszach, świdrowało w sercu, stało przed oczyma jak strach. Zaczęła się bać tego „nigdy" okrutnie. Otworzyła drzwi, wpadła do izby, zalała się łzami, kryjąc głowę w poduszki. Czuła się bardzo nieszczęśliwa, opuszczoną przez wszystkich, przez cały świat.

— Zginąć mi, rzucić się do wody, spalić się na popiół, niech nic po mnie nie zostanie. Może panicz zapłacze, a Jędrek wtedy dopiero będzie sobie włosy rwał i żałował, że ją porzucił jak psa i uciekł od niej. Jędrkowi nie daruje, na złość chciałaby zejść z tego świata i pokazać, jak bez niej będzie smutno i ponuro, że sobie rady nie da i miejsca nie znajdzie.

Z rozpaczy snuła coraz czarniejsze obrazy, nareszcie zmęczona i wyczerpana — zasnęła. Zbudził ją głos Zośki, wołający do doju. Nie było rady, musiała się przebrać, wziąć kopiec, pójść do stajni i doić krowy. Było ich dwie, Zośka zagniatała zacierkę do mleka na wieczerzę. Przy pracy rozpacz odleciała na błonia, zajrzała do dworu, a potem do chaty Maryny, gdzie Jędrek grał na harmonii, a dziewczęta śmiały się i tańczyły.

II.

Po święcie nastały dni pracy. Przy okopywaniu ziemniaków dobrze się trzeba przyłożyć, aby ziemię w około krzaka do głębi wzruszyć. Hanka wstała o świtaniu, z motyką zarzuconą przez ramię przebiegła wieś do ojcowskich zagonów. Minęła chałupę Maryny, później Jędrka, lecz nikogo nie spotkała, prócz kilku kobiet, jak i ona idących do ziemniaków. Pogwara z niemi nie szła, dziewczyna oglądała się po za siebie, lecz napróżno — nikogo, jak okiem sięgnąć.

Śniadanie przyniósł jej ojciec i został z nią, dwojgu szło raźniej, robota uciekała... Na obiad wracali do domu i znowu było puściutko przed chałupą Jędrzeja.

— Czy się pod ziemię zapadł, utopił, uciekł ze wsi — zadawała sobie pytania... — Bo, że panicza nie widać, to po co by miał po takiem gorącu latać, kiej ma cień w swoim sadzie. Ale Jędrek, jego prawo pilnować gospodarstwa, siedzieć na roli! Ziemniaki jego nie tknięte motyką, nikt na nie nawet nie zajrzy. Gdzież Jędrek?... A może czeka, żebym ja swoje okopała, bo się nie chce ze mną spotkać i popatrzeć na mnie — czeka aż mu z drogi zejdę. Niech się nie boi, bo nie zaczepię go, — nawet nie powiem „Szczęść Boże"... i nie usłyszę od niego — „daj Panie Boże"... — Będę kopała swoje, jakby go w polu nie było. Co mi z niego — głupi, osioł jakiś.

Dziewczyna była zła, uniosła motykę, lecz wkrótce opuściła ją na ramię. Gniew w niej grał, bo Jędrek jakoś panicza z przed oczu jej zasłaniał.

Skończyło się okopywanie, kosiarze ładowali kosy, klepiąc je młotkami na bakach. Dziewczęta wyszukiwały grabi.

Kośba, rozkosz dla młodości! Kosy połyskują na słońcu, a wyciągnięci długim łańcuchem kosiarze, kładą świeże pokosy trawy. Słońce grzeje, skowronek wzlatuje w górę i przyśpiewuje robotnikom..

Ojciec Hanki miał dwie morgi gęstej i wysokiej koniczyny, że w nią kosy wrazić nie było można.

Hanka radziła wezwać do kosiarki Jędrka, jako najmocniejszego parobka we wsi.

Jeżli on nie poradzi — mówiła — to nikt...

— Abo to przyjdzie — odparł ojciec — chłopaka odepchnęłaś i wyprzysiągł się, że już nigdy nie postanie na naszym zagonie.

I znowu to „nigdy" szarpnęło sercem dziewczyny, że aż ognie buchnęły jej na twarz. Aby ich nie pokazać ojcu, uciekła z izby. Na świeżem powietrzu odetchnęła i spojrzała głęboko w świat, jak gdyby oczami szukała ratunku.

— Kiej narobiłaś zamętu, to teraz szukaj na jutro dwóch kosiarzy, ja stanę trzeci!.. A spiesz się, bo jak koniczyna stwardnieje, to jej i przez pięć dni nie damy rady.

Dziewczyna stanęła zamyślona.

— Jeszcześ tu?... A ruszysz się głupia...

Dziewczę, jakby popchnięte niewidzialną siłą, poleciało, zejść ojcu z oczu. Stanęła na drodze — myślała.

— I jakże ja mam szukać chłopów. Pójdę, powiem, a oni w śmiech. Gdzie Jędrek, zapytają. A jabym się wolała pod ziemię skryć, jak iść po Jędrka, zaczepiać go i pierwsza do niego zagadać.

— Pod ziemię, — powtórzyła zrozpaczona — pod ziemię. Ach, żeby to święta ziemia przyjęła i przykryła mnie i mój ból i mój wstyd i wszelakie męki, co mi gniotą serce!...

Święta ziemia zadudniała! Obejrzała się, stanęła jak wryta, zalękniona, że tchu złapać nie mogła. Gościńcem biegły na nią dwa wielkie konie. Na jednym siedziała bokiem młoda panna, na drugim panicz. Jechali razem. Panicz wrażał ślepia w młodą pannę.

Przejechali — Hanka miała tyle siły i przytomności, że się skłoniła, pochylając rękę ku ziemi, lecz panicz ani ją chciał widzieć, ani głową kiwnął — leciał zwrażonemi ślepiami w dziewczynę, z którą długi, niebieski welon furczał w powietrzu.

Polecieli — Hankę porwała wściekłość. Podniosła grudę ziemi, cisnęła za nimi. Gruda spadła na ziemię — jeździcy byli daleko...

— Ja ci oddałam najpiękniejszego chłopaka we wsi, a tyś mi nawet łbem nie kiwnął, nie spojrzałeś na mnie!... Umyślnie ślepia wraziłeś w tę, żeby ino mnie nie zobaczyć, boś się mnie wstydził. Wstydziłeś się mnie, a przy siostrze i matce mówiłeś, żem malowanie. Wstydziłeś się mnie i spojrzałeś, gorzej jak na psa. Ja ci się, kpie, powstydzę! Straciłam bez ciebie Jędrka, a ty się mnie wstydzisz! I gdybym w niedzielę głupia do pałacu poszła i tam zczezła — tybyś mnie się dziś wstydził!...

Stanęła roztrzęsiona.

— Zabiłabym cię — krzyknęła, ręce jej drżały. — Zabiła — powtórzyła głucho, rzucając w ciszę ten straszny wyraz. — Bóg mnie ochronił, odepchnął od pałacu, wróciłam, jaką byłam, wróciłam jako kwiat i kpię sobie z twego wstydu!... Kpię — kpię!

Zaśmiała się nerwowo i kopnęła w środek wsi. Leciała bez upamiętania.

Jędrek stał obok swej chałupy, oparty o wrotka opłotek.

— Niech będzie pochwalony...

Drgnęła — chciała bledz, nie mogła! Chwyciło ją i przybiło do miejsca...

— Na wieki — odparła, oblała się ponsem i oczy spuściła.

— Dobrze, że cię spotykam.

— Bez co — szepnęła.

— Chciałem się z tobą pożegnać.

— Jedziesz?

— Do Hameryki. Brata osadzę na gruncie, zaciągnę dług i jazda. Świat szeroki, młodość się rwie do tej szeroczyzny!...

Stali onieśmieleni, zawstydzeni. Dziewczynie wargi drżały, chłopak pobladł i usta zacisnął. Stali, zdawało im się, że wieczność całą stoją, wzruszeni, wolni, a jednak szczęśliwi swem nieszczęściem. Pierwszy ustąpił chłopak.

— Hanka — szepnął.

— Cóż?

— Zostań z Bogiem.

Dziewczyna jak gdyby w lunatycznym śnie podeszła, chłopakowi nerwy rozsadzały przeczuciem szczęścia — serce...

— To weź mnie z sobą — szepnęła i nie mogąc utrzymać się na nogach, zaczęła się słaniać.

Pochwycił ją w ramiona.

— Ze mną?!...

— Z tobą na kraj świata!

— A po co jechać? — zawołał. — I tu świat miły, kiej ty w nim, a ja przy tobie. Kiej tyś przy mnie moja!

— Twoja!

— Na życie i śmierć?

— Na życie i śmierć! — Nie mogła dłużej wytrzymać, oparła głowę na jego piersiach i rozpłakała się.

Jędrek ustami zbierał z twarzy płynące łzy.

— Dzieciątko moje! a ja byłem taki dureń, żem se Bóg wie co myślał...

— I nie zajrzałeś, puściłeś mnie samiutką!

— Taki już ze mnie wół kalwaryjski!

— A wiesz, żem sierota bez matusi, bez siostry i brata. I nikogo już nie mam na świecie — prócz...

— Gadaj!

— Prócz ciebie.

— Hanka daj już pokój, bo rozumek stracę

— Trać, ino kochaj!...

— Hanka! Lećmy do tatusia, bo jutro chcę koniczynę kosić.

Kronika tygodniowa.

Każdy ma swego mola, który go gryzie, tak przynajmniej powiada przysłowie, a przysłowia są ogólnie uznane za filozofię narodów. My, niestety, mamy tych moli aż za dużo, a na wytępienie ich szuka się środków najczęściej jednak nie prowadzących do celu, być może dlatego, że stosuje się je nieumiejętnie lub nieopatrznie.

Jednym z tych potworów, tak się nam dających we znaki, jest przedewszystkiem drożyzna, rosnąca z dnia na dzień, bez względu na to, czy jest przednowek, czy okres czasu przed nim, czy też po nim. W przedwojennych czasach wiedzieliśmy o tem, że zaspokojenie codziennych potrzeb jest najtrudniejsze w czasie przednowku, przetrzymywało się go przecież jako tako, pocieszając się nadzieją, iż po żniwach sytuacya się poprawi. Po wojnie stosunki zmieniły się o tyle, iż przednowek trwa u nas rok cały, nadzieja poprawy odpada zaś zupełnie, bo wszystko jedno, udadzą się żniwa czy nie, w kraju da się zawsze odczuwać brak najważniejszych artykułów, które spekulanci wywiozą za granicę.

Każdy z naszych rządów, ile ich mieliśmy dotychczas, zapowiadał zawsze głośno walkę z lichwą i drożyzną i wymyślał różne środki ochronne, te jednak, zamiast ją usunąć zwykle ją jeszcze bardziej potęgowały. Była to zatem walka z wiatrakami, robiąca czasem wiele chałasu, ale nie przynosząca wcale pożądanych skutków. Taki naprzykład Urząd przywozu i wywozu, który miał za zadanie czuwanie nad tem, aby w kraju nie brakło najważniejszych artykułów, spełniał swe obowiązki w ten sposób, iż wydawał zezwolenia na wywóz za granicę tylko nadmiaru tych i owych produktów, kończyło się jednak na tem, że właściwie cały zapas uważany był za nadmiar, jechał sobie spokojnie do sąsiadów, a ci płacili za niego w swojej walucie, od naszej daleko lepszej, nawet na lepszym papierze drukowanej. To co pozostawało w kraju, rozkupywali konsumenci, przelicytowując się wzajemnie, a producent zacierał ręce z radości i wypełniał swe worki monetą.

Nowy rząd jenerała Sikorskiego zapowiedział także drożyźnie walkę na śmierć i życie, a owym św. Jerzym, mającym zdusić smoka lichwy i paska, jest nadzwyczajny komisarz do walki z lichwą w osobie pana Hartleba, świeżo powołanego na to ważne stanowisko. Słowa jego już słyszeliśmy, teraz chcielibyśmy widzieć jego czyny. Dziesięcioro przykazań, które mają stanowić wytyczną dla jego działalności, opublikowano już w prasie, brzmią one bardzo pięknie, choć są nadzwyczaj giętkie i łatwo je w różne strony wyginać, pesymiści odzywają się też coraz częściej, że gotów je spotkać ten sam los, co owe sławne dziesięcioro przykazań fizykatu miejskiego w Krakowie, które najzupełniej zawiodły. Śmiertelność w naszem mieście nie tylko się nie zmniejszyła, ale zmusiła nawet zarząd miasta do postarania się o rozszerzenie cmentarza rakowickiego, aby obywatelom zapewnić wieczny spoczynek po doczesnej wędrówce na tym padole lichwy, paska i innych powojennych przyjemności.

Użyliśmy wyrażenia na „wieczny spoczynek" choć ono w tym wypadku nie powinno znaleźć zastosowania, na naszych cmentarzach chrześciańskich o wiecznym spoczynku mogą bowiem mówić tylko uprzywilejowani, t. j. posiadający tak zwane „własne grobowce rodzinne", czyli cmentarni kamienicznicy. Reszta, t. j. proletaryat cmentarny, musi być z góry na to przygotowany, że po latach mniej więcej dwudziestu kto inny zajmie miejsce, które uważali za swoje, chyba że w międzyczasie postarają się o nabycie na własność tych kilku łokci ziemi, składając w Kasie miejskiej odpowiednią taksę, oczywiście dziś także stosunkowo wysoką, nie dla każdego zatem dostępną.

To jednak do rzeczy nie należy, choć prawdę mówiąc z treścią niniejszej kroniki ma ścisłą łączność, drożyzna bowiem i fatalne skutkiem jej odżywianie się przedewszystkiem sfer umysłowo pracujących, z natury rzeczy słabszych fizycznie od oddających się pracy ręcznej, wpływają bardzo dodatnio na rozwój śmiertelności. Uczy nas wprawdzie pan fizyk w swem dziesiątem przykazaniu sanitarnem, abyśmy mimo przeciwności nie upadali na duchu, na cóż jednak zda się ta rada, jeśli duch ten, choćby nawet bardzo silny tkwi w mdłem ciele, a ono ciągle woła: jeść!... Bardzo dosadną, ale też i bardzo smutną illustracyą obecnych stosunków jest zgon ś. p. Pawła Stwiertni, zmarłego w Krakowie w ubiegłym tygodniu prawie z niedostatku, choć swem czynnem życiem dla dobra ogółu polskiego zasłużył sobie chyba na lepszy los. Kolejnictwo nasze ma mu wiele do zawdzięczenia, brał także żywy udział w życiu ogólno-społecznem, jako jeden z wybitniejszych członków byłego austryackiego parlamentu i wiceprezes Koła Polskiego we Wiedniu. Nie wiedzieć, czy płakać, czy się śmiać, jeśli się czyta i słyszy, że po kilkudziesięciu latach zawodowej ciężkiej pracy pobierał nieboszczyk tytułem emerytury zaledwie kilkadziesiąt tysięcy marek miesięcznie, co w dzisiejszych warunkach, zwłaszcza dla człowieka starszego i słabego, potrzebującego zatem pewnych wygód, stanowczo nie wystarczy.

Nowy pan komisarz walki z drożyzną i lichwą ma zatem przed sobą otwarte szerokie pole do rozwinięcia bardzo żywej działalności, aby ona jednak była skuteczną i przyniosła spodziewane owoce, powinno mu pójść na rękę i całe społeczeństwo i zabrać się wspólnemi siłami do tępienia tych szkodników społecznych, których się tyle u nas namnożyło we wszystkich sferach. Jak swojego czasu Stańczyk powiedział, że u nas lekarzy najwięcej, każdy bowiem lubi drugiemu radzić, tak znów teraz możemy śmiało przyjąć za pewnik, iż najliczniejszą kastę tworzą u nas paskarze i lichwiarze, a rekrutują się ze wszystkich sfer, od siermięgi wieśniaczej począwszy, na sobolowych futrach skończywszy. Pasek złączył u nas wszystkie stany, wyznania, narodowości i t. d.

Aby skutecznie z nim walczyć, musimy się zdobyć ze swej strony na trochę samozaparcia się i poświęcenia, które niezbyt może przyjemne dla niektórych jednostek, dla ogółu przecież może być ogromnie korzystnie. Przedewszystkiem zatem powinno się omijać wszystkie te lokale, gdzie właściciel, kalkulując ceny, jak sam powiada w dolarach lub frankach, nie z dnia na dzień, ale kilka razy dziennie podnosi ceny. Takiemu panu z pewnością zmiękłaby rura, gdyby przez tydzień nikt jego lokalu przemysłowego nie odwiedził. Ale na tyle solidarności społeczeństwo nasze nigdy się nie zdobędzie, zwłaszcza te z pośród niego jednostki, które same zajmując się paskiem i z bliźniego bez litości drąc skórę, z groszem się nie liczą, bo za nich płacą ich odbiorcy. A trudno chyba wymagać od baby wiejskiej, która przyniosła na targ, czy to drób, czy nabiał, czy też co innego, aby sprzedała komuś za przystępniejszą cenę, jeśli różne lichwiarki lub paskarki urządzają formalną licytacyę na te artykuły, byle je tylko posiąść. Wystarczy przejść się po targu w różnych porach dnia, a odnosi się to samo wrażenie, co na giełdzie. W godzinach porannych gdy popyt jest największy, a podbijanie się wzajemne w cenach przez kupujące wre w całej pełni, poczciwi nasi bracia i siostry ze wsi dyktują ceny zwyżkowe, odstraszające zwykłych śmiertelników, nieustępliwość ich maleje jednak w miarę, jak się targ zbliża ku końcowi, a przyniesiony ze wsi artykuł nie znalazł nabywcy. Jeden ze znajomych kronikarza przekonał się o tem sam na sobie. Chciał swej narzeczonej ofiarować piękny prezent na imieniny, ponieważ zaś artykuły spożywcze są dziś w każdym domu najmilej widziane, wybrał się na targ, gdzie wdrożył pertraktacye handlowe o sympatycznego koguta, który jak sprzedająca twierdziła, może z łatwością zastąpić w domu budzik, pieje bowiem z zadziwiającą regularnością i do tego bardzo melodyjnie codziennie o tej samej porze. Żądała też za niego ośmnaście tysięcy marek, co naszego znajomego podobnie jak i wielu innych, mających chęć nabycia, od kupna odstraszyło. Koło południa, wracając z biura do domu, spotkał na tem samem miejscu tę samą babinę i z tym samym kogutem, który jednak kosztował już tylko czternaście tysięcy. Kto cierpliwy, ten korzyść z tego odnosi, gdy popołudniu wyszedł na miasto, kupił tego koguta bez targu za jedenaście tysięcy, a kto wie, czy babina nie byłaby oddała go jeszcze taniej, choć narzekała, że jej jeszcze godzinę temu daleko więcej dawano.

Gdyby w ten sposób jak z ową właścicielką koguta, postępowała publiczność ze wszystkimi handlarzami, po niedługim czasie nauczyłaby ich rozumu, reszty zaś dokonać musiałyby władze, tępiąc na każdym kroku bez litości wyzysk i lichwę bez względu na to, czy się jej dopuszcza osobnik stojący na najniższym czy też na najwyższym szczeblu drabiny społecznej. Musiałyby to jednak być kary bardzo dotkliwe, a nie takie, jakie stosuje się obecnie. Bo i cóż robi sobie z wyroku paskarz-szynkarz, skazany dajmy na to na pięćdziesiąt tysięcy marek grzywny za nadmierne śrubowanie cen, jeśli tę grzywnę odbije sobie zaraz nazajutrz. Takiego pana powinno się z miejsca zamknąć do kozy, gdyby zaś po raz drugi został złapany na czemś podobnem, powinien bezwarunkowo stracić koncesyę przemysłową. Stosowanie kar cielesnych byłoby bardzo wskazane, ale na coś podobnego nie zgodzą się czułe serca naszych wielkich, niereagujące zupełnie na to, gdy lichwiarz lub paskarz znęca się nad swoim bliźnim. Złośliwi powiadają wówczas, że kruk krukowi oka nie wykole, a w rzędzie paskarzy znajdują się także i ci, którzy ustawy dyktują, ale jako nietykalnym nic im na razie zrobić nie można, gdy zaś minie okres ich nietykalności rzecz tymczasem pójdzie w zapomnienie.

Również skutecznym środkiem na zwalczanie paska i lichwy byłby fakt, aby żaden uczciwy adwokat nie podjął się obrony klienta, oskarżonego o występek lichwy lub paska. Ale w tej dziedzinie spostrzegać się daje dwuosobowość tkwiąca w jednem ciele. Zupełnie co innego jest pan mecenas jako gospodarz domu, inaczej zaś przedstawia się w czterech ścianach swojej kancelaryi lub przed forum sądowem.

Na potwierdzenie tego możemy służyć przykładem zaczerpniętym z życia codziennego.

Rano, ledwie miał czas przetrzeć oczy, słyszy pan mecenas słodki głos swej lepszej połowy, której, aby ją odzwyczaić od niepotrzebnego wydawania pieniędzy, asygnuje codziennie odpowiednią kwotę na utrzymanie domu, że piętnaście „lisów" już nie wystarczy, trzeba dać koniecznie co najmniej dwadzieścia. To oświadczenie wytrąca go ze zwykłej równowagi moralnej! A gdy połowica, aby się usprawiedliwić, tłomaczy, że mięso, bułki, chleb, cukier itd. znowu podrożały, wpada we wściekłość, tym razem nie na zarząd domu, zdaniem jego nie liczącym się z groszem, ciężko przezeń zapracowanym, lecz na paskarzy i lichwiarzy.

– Tych łotrów powinno się bez sądu powywieszać!... Gdybym był sędzią, nie miałbym dla nich litości, bo to szkodniki, które raz już trzeba wytępić!

W godzinę potem jest pan mecenas w swem biurze, gdzie przekonuje się z raptularza, że dziś o jedenastej ma rozprawę apelacyjną rzeźnika Zdzieralskiego, skazanego na miesiąc ścisłego aresztu i milion marek grzywny za nadmierne śrubowanie cen.

– To jeszcze mało dla tego wyzyskiwacza!... – mruknął do siebie, potem zabrał się do przeglądania aktów, przerywając sobie czytanie tego rodzaju epitetami, skierowanymi pod adresem swego klienta, jak: łajdak, oczajdusza, bandyta... Wreszcie znalazł się przed trybunałem, gdzie wystąpił w zupełnie innej roli i tak wymownie i przekonywująco przedstawił swego klienta, jako ofiarę wyzysku innych, a dobrodzieja tych, którym raczył ochłapy sprzedawać, popierając to wszystko odpowiedniemi paragrafami kodeksu, że sędziom nie pozostaje nic innego, jak wydać wyrok uniewinniający. Klient jest zadowolony, pan mecenas także, gdyby jednak nie wymowa pana mecenasa, pan Zdzieralski nie miałby dziś tak pewnej siebie miny, choć bowiem sam uważa się także za ofiarę i dobrodzieja ludzkości, nie potrafiłby tego w tak piękne ubrać słowa i odpowiednimi paragrafami potwierdzić. Że zatem pan Zdzieralski grzeszy w ten sposób dalej, jak poprzednio, a przykład jego zachęca innych, winien jest w pierwszym rzędzie pan mecenas, w dalszym ciągu podczas obiadu wyzywający pomsty Bożej na lichwiarzy i paskarzy żywnościowych.

Byłoby także ze wszech miar wskazanem, aby nasza prasa zabrała się na seryo do paskarzy i lichwiarzy, jak dotąd bowiem, obchodzi się z nimi zanadto delikatnie, czem ich rozzuchwala. Nawet najbardziej radykalne organy są dla swoich" wyzyskiwaczy bardzo wyrozumiałe i puszczają płazem to, co powinno być dosadnie napiętnowane bez względu na przynależność partyjną, czy rasową danego osobnika.

Nowy wojewoda śląski.

Ważną placówkę wojewody śląskiego, opróżnioną przez śmierć ś. p. Rymera, objął p. Antoni Schultis, dotychczasowy naczelnik Wydziału województwa śląskiego.



Nowy wojewoda śląski: Antoni Schultis.

P. Schultis liczy obecnie 53 lat i jest jednym z najdzielniejszych i najsprężystszych urzędników administracyjnych w Małopolsce. Pierwszorzędny prawnik, wyszkolony znakomicie w służbie polit.-wewnętrznej, pełnił służbę w Starostwach na prowincyi, potem zajmował dłuższy czas poważne stanowisko w b. austr. ministerstwie spraw wewn. w Wiedniu. Był też długoletnim szefem biura prezydyalnego b. Namiestnictwa galicyjskiego. Sam bardzo pracowity, wymaga pracy od podwładnych mu urzędników, których pracę potrafi też ocenić. Uprzejmy i taktowny, zjedna sobie niewątpliwie na tem odpowiedzialnem stanowisku szacunek miejscowej ludności.



Ze sportu zimowego: Brawurowy skok francuskiego łyżwiarza przez swego kolegę.



Z Opery krakowskiej: Scena z pierwszego aktu „Nizin" d'Alberta. Fot. Kuczyński, Kraków.

Z Opery krakowskiej

Mija półtora roku, odkąd Kraków ma własną stałą Operę. Potrzebę sceny muzycznej odczuwało społeczeństwo krakowskie oddawna wprost żywiołowo. Coroczna krótkotrwała gościna opery lwowskiej w miesiącach letnich nie mogła wypełnić luki w życiu artystycznem miasta, a sfery rządzące nie chciały się zdobyć na inicyatywę w tym kierunku. Zadania tego podjęło się grono zapalonych miłośników muzyki operowej, zgrupowanych około krakowskiego T-wa Operowego. Personal artystyczny został skompletowany, miasto udzieliło budynku dawnego teatru „Powszechnego" przy ul. Rajskiej i w dniu 3-go września 1921 r. rozpoczęto stałe przedstawienia operą St. Moniuszki p. t.: „Hrabina".

Od tego czasu do dnia dzisiejszego upłynęło już półtora roku. Warto rzucić okiem na działalność tej placówki za czas ubiegły, obliczyć jej dorobek: 20 premier (3 polskie, 1 rosyjska, 1 czeska, 3 niemieckie, 4 francuskie, 8 włoskich), w tem kilka oper, zupełnie w Krakowie dotychczas nie wystawianych, np. Moniuszki „Hrabina" i D'Alberta „Zamarłe oczy", są najchlubniejszem świadectwem dla sprawności i pracowitości personalu artystycznego. A przypomnijmy sobie nazwiska gości, których mieliśmy sposobność z tej sceny podziwiać. Nie zbraknie w tym szeregu żadnego z naszych najznakomitszych: E. Didurówna, Kaftalówna, Mechówna, Mokrzycka, Lachowska, Lewicka, Platówna, Szafrańska, Bogucki, A. Didur, Dobosz, Dygas, Freszel, Gruszczyński, Okoński, Palewicz, Woliński, z obcych zaś Jadlowker, Jarosławski i A. Wesołowski.

Prawdziwą bolączką niestety jest niesympatyczny dla publiczności budynek, w którym mieścić się musi Opera. Włoczona w skromne ramy budynku przy ul. Rajskiej, z lilipucią scenką, walczącą z brakiem urządzeń technicznych, kostyumów, dekoracyi, mimo to zadanie swoje spełnia, nie korzystając nawet z dobroczynności publicznej, podczas gdy inne opery, posiadające wspaniałe gmachy i bogate zasoby z czasów przedwojennych, pochłaniają rocznie miliardowe subwencye.

Choć pozbawiona wielu konieczności życiowych, jednak nowa ta placówka rozwija się i ugruntowuje swoje istnienie wybitnym wysiłkiem artystycznym. Ostatnią nowością są D'Alberta „Niziny", których wystawienie spotkało się ze zgodnemi pochwałami krakowskiej krytyki, która ze szczególnem uznaniem podnosi wysoki poziom artystycznego wykonania części muzycznej (kap. St. Barański), oraz staranność reżyseryi (reż. Stępniowski).

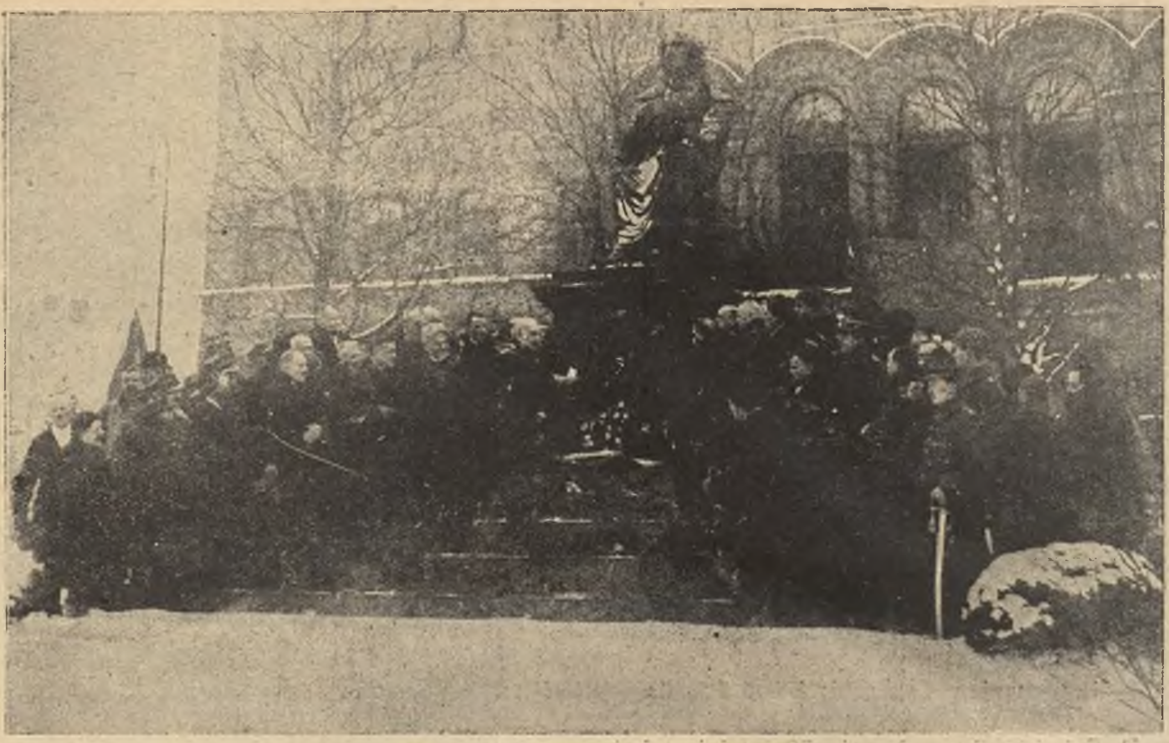
Ze sportu zimowego.

Sport narciarski i saneczkowy cieszy się wszędzie w Europie uznaniem, na jakie sobie w całej pełni zasługuje. Tegoroczna zima, stosunkowo dość lekka,



Z Opery krakowskiej: Scena z drugiego aktu „Nizin" d'Alberta. Fot. Kuczyński, Kraków.

sprzyja tym popisom, wszystkie większe zawody, jakie urządzono w rozmaitych krajach, wypadły doskonale, gromadząc liczne rzesze uczestników. Illustracya, którą reprodukujemy w naszem piśmie, przedstawia brawurowy skok łyżwiarza ponad kolegą, przesuwającym się pod nim. Fotograficznego zdjęcia dokonano w Chamonix, podczas tegorocznych zawodów, które, dzięki obfitości śniegu, łagodnej temperaturze, nie przekraczającej 15° niżej zera i wspaniałemu krajobrazowi alpejskiemu, powiodły się w zupełności ku ogólnemu zadowoleniu francuskich zwolenników sportu zimowego. Francya jest w tem miłem położeniu, że ma dwa odpowiednie tereny sportowe, jeden w Alpach, drugi w Pirenejach, rywalizujące ze sobą bardzo skutecznie.



Uroczystości Kopernikowskie w Warszawie: Pod pomnikiem Kopernika przemawia rektor Kochanowski.
Fot. S. Wolski, Warszawa.

Uroczystości Kopernikowskie w Warszawie.

Czterystapięćdziesiątą rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika obchodzono w Warszawie bardzo uroczyście. Obchód rozpoczął się nabożeństwem, odprawionem przez księdza kardynała Kakowskiego. Kazanie wygłosił ksiądz prof. Szlagowski. Po nabożeństwie ruszył z kościoła Karmelitów pochód przed pomnik Kopernika na Krakowskiem Przedmieściu, u podnóża którego złożono wieńce ze wstęgami narodowemi. Przemówienie wygłosił prezes warszawskiego Towarzystwa naukowego, były rektor uniwersytetu warszawskiego, znany historyk prof. J. Kochanowski. Orkiestra odegrała na zakończenie hymn Bogarodzica, wieczorem odbyła się uroczysta akademia w Ratuszu, na której przemawiał prezes Rady miejskiej, senator Ignacy Baliński. W Teatrze Wielkim odbyło się przedstawienie galowe, w innych teatrach przed podniesieniem kurtyny artyści deklamowali wiersz Deotymy o Koperniku.

II. Międzynarodowe zawody narciarskie w Zakopanem

Tegoroczne zawody narciarskie, mimo ich szumnej nazwy międzynarodowemi wcale nie były. Z wyjątkiem Węgrów, którzy już od wielu tygodni bawili w Zakopanem i to jako goście krakowskiego A. Z. S. inne narodowości w zawodach nie wzięły udziału. Nie szukamy winowajców fiaska tegorocznych zawodów — w każdym jednak razie musimy zwrócić uwagę, że polityka Polskiego Związku Narciarskiego nie jest szczęśliwą a w ostatnim czasie popełniła szereg grubych błędów. Brak ścisłego kontaktu między siedzibą P. Z. N. w Warszawie a niezwykle czynnymi działaczami narciarskimi w Zakopanem w konsekwencyi sprowadzać będzie stałe niedomagania.

Pod względem sportowym zawody udały się w zupełności. Narciarze nasi znacznie poprawili styl i formę biegów oraz skoku i w tym kierunku nasza klasa pierwsza nie ustępuje zupełnie zagranicznej.

W doskonałej wprost formie znajduje się tegoroczny mistrz Tatr p. Bujak. Pierwszorzędne jego warunki wysuwają go jako narciarza, na miarę europejską i takim jest faktycznie. Z innych, a więc przedewszystkiem Kaliciński, Krzeptowski, Rozmus, Mikenbrun, Witkowski, Suleja itd. To narciarze nigdy nie zawodzący i o dużej jeszcze przyszłości. Chlubą jednakże naszego narciarstwa jest p. Ziętkiewiczowa, która swoją brawurową i piękną jazdą wzbudziła prawdziwą senzacyę we Francyi, gdzie — jak wiadomo — zdobyła dwa pierwsze miejsca. Uległa, niestety, nieszczęśliwemu wypadkowi podczas skoku, łamiąc sobie nogę. Obecnie przebywa w szpitalu w Paryżu. Panią Ziętkiewiczową zastąpiły podczas ostatnich zawodów w Zakopanem panie Hanka Schielowa i Wanda Dubieńska i dzielnie reprezentowały sport polski. Również i nasze najmłodsze pokolenie przedstawia doskonały materyał narciarski, a kierowane doskonale przez narciarzy, zgrupowanych w sekcyi narciarskiej T. T., będzie w przyszłości chlubą polskiego narciarstwa.

Mimo, że zagranica nie obesłała ostatnich zawodów zakopiańskich udały się one w zupełności. Organizacya była wzorowa — może tu i ówdzie wprowadzały zamieszanie i nieporozumienia „szare gęsi", których przy tego rodzaju imprezach zazwyczaj jest bardzo wiele — na ogół jednakże wszystko było zrobione w porę i dobrze. A zasługa to wyłączna komitetu organizacyjnego, który pod kierownictwem znanego adwokata p. dra Diela pokonał wszelkie trudności związane z zawodami. Pod względem zaś sportowym zawody przygotowała sekcya narciarska Tow. Tatrzańskiego z p. kap. Ziętkiewiczem na czele a przygotowała je w sposób, który dobrze świadczy o naszym zmyśle organizacyjnym.



Uroczystości Kopernikowskie w Warszawie: Pochód pod pomnik Kopernika. Na czele pochodu idą: Marszałek Sejmu Rataj, rektor Kochanowski i prezydent m. Warszawy Jabłoński.
Fot. S. Wolski Warszawa.



Morderca prawosławnego metropolity Jerzego: Archimandryta Smaragd Łatyszeńko, b. rektor prawosławnego Seminaryum duchownego w Chełmie.



Międzynarodowe zawody narciarskie w Zakopanem: Witkowski mija metę na jednej narcie (drugą w czasie biegu połamał).

Morderca prawosł. metropolity Jerzego.

Bezpośrednio po zamordowaniu metropolity Jerzego, głowy samodzielnego kościoła prawosławnego w Polsce, wyrażono przypuszczenie, iż w grę wchodzą tu motywy polityczne. Że tak jest, a nie inaczej, stwierdził to sam morderca, zeznając w śledztwie, prowadzonem przez sędziego dla spraw szczególniejszej wagi, Luxemburga, iż zabił metropolitę, ponieważ uważał go za niebezpiecznego i szkodliwego dla interesów cerkwi przez zbytnią uległość i lojalność wobec polskiego rządu, nie mogącego pozwolić na to, aby ludność prawosławna, zamieszkująca w granicach naszego kraju, podlegać miała zwierzchnictwu metropolity moskiewskiego.

Archimandryta Smaragd Łatyszeńko, rektor prawosławnego Seminaryum w Chełmie, trzydziestokilkoletni mężczyzna o atletycznej budowie ciała, był zaufanym powiernikiem zasuspendowanego niedawno przez Synod prawosławny w Polsce i skazanego na internowanie w klasztorze w Dermaniu episkopa grodzieńskiego Włodzimierza, a także gorliwym współpracownikiem osławionego episkopa chełmskiego Eulogiusza, jednego z twórców gubernii chełmskiej, znanego rusyfikatora.

Tak Włodzimierz i Eulogiusz, jak spora garść wyższego duchowieństwa prawosławnego na ziemiach polskich, do której należał i Łatyszeńko, nie mogła się pogodzić z dokonanym faktem wyodrębnienia się cerkwi prawosławnej w Polsce z pod supremacyi moskiewskiej, a całe ostrze nienawiści zwróciło się przeciw śp. Jerzemu, iż odważył się przyjąć ofiarowaną mu przez Synod w Polsce metropolię warszawską i od roku faktycznie ją sprawował, dając w ten sposób wyraz zerwania węzłów hierarchicznych między prawosławiem w Polsce, a jego naczelną władzą w Moskwie.



Międzynarodowe zawody narciarskie w Zakopanem: Grupa dziennikarzy. W pośrodku red. Szczepanik (Agen. Wsch.), red. Grzegorczyk (Rzeczpospolita), red dr. Szperber (Il. Kuryer Codz.).

Ze świata muzycznego.

W kulturze muzycznej Krakowa dobrze się już zapisała szkoła śpiewu p. Ludwiki Marek-Onyszkiewiczowej. Szkoła ta wydaje bardzo dobre rezultaty i każdego sezonu przysparza polskim operom nowych artystów, rokujących jak najlepsze nadzieje na przyszłość. W tym sezonie już cztery osoby ze szkoły Onyszkiewiczowej przeszły na scenę. I tak panna Wiktorya Pastówna (mezzosopran) została zaangażowaną do opery w Wilnie i tam po występie w roli Azuceny w „Trubadurze“ wybiła się na pierwsze stanowisko, ciesząc się ogromnem powodzeniem. W operze katowickiej od początku sezonu zaangażowaną została uczenica szkoły p. Onyszkiewiczowej p. Wanda Stróżyńska (mezzo-sopran), która z wielkiem powodzeniem wystąpiła w partyi Azuceny w „Trubadurze“, a ostatnio debiutował w operze katowickiej p. Eugeniusz Maj. Debiut jego w partyi Walentyna w „Fauście“ był bardzo udatny. Publiczność przyjęła młodego śpiewaka z entuzyazmem, a krytyka podnosi jego piękny głos barytonowy o nader miłem brzmieniu, wielką muzykalność, doskonałą szkołę i talent sceniczny.





Międzynarodowe zawody narciarskie w Zakopanem:

Skok p. Eugeniusza Kalicińskiego (dług. 28 metrów).

Najwybitniejsi narciarze polscy: pp. Bujak Fr. (mistrz Tatr), Rozmus Al. i Mikenbrun, zwycięscy w biegu sztafetowym.



Ze świata muzycznego: P. Wiktorya Pastówna, artystka Opery w Wilnie.



Ze świata muzycznego: Eugeniusz Maj, artysta Opery w Katowicach.



Ze świata muzycznego: P. Wanda Stróżyńska, artystka Opery w Katowicach.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.